

Z profesorem dr. hab. Robertem Skoczkiem – mowoznawcą i fonetykiem w Katedrze Mowoznawstwa i Fonetyki Uniwersytetu Marcina Lutra w Halle i Wittenberdze

rozmawia

Magdalena Wierak

„Będę profesorem języka niemieckiego”

Magdalena Wierak: Mówić w języku obcym to jedno, ale posługiwać się nim jak mową ojczystą, znać jego niuanse czy analizować go na poziomie akademickim, to już rzecz niezwykła. W wieku 41 lat został pan profesorem niemieckiej uczelni, a przecież materią pańskiej działalności naukowej jest język niemiecki, język, którego się pan nauczył.

Polak, który uczy Niemców jak poprawnie mówić i wymawiać po niemiecku – czy można tak o panu powiedzieć?

Prof. dr hab. Robert Skoczek: Poniekąd tak (śmiech). Staram się zaznajomić moich studentów nie tylko z suchą teorią nauczanych przeze mnie przedmiotów, lecz także zainteresować ich zawłościami fonetyki, języka oraz jego zróżnicowaniem w obrębie tzw. standardu wymowy. Chcąc nie chcąc, odnoszę się na moich wykładach również do ogólnej poprawności w posługiwaniu się językiem niemieckim. Tu - podobnie jak w innych krajach – język wykazuje ogromne zróżnicowanie regionalne. Należy zatem w tym kontekście zachować szczególną ostrożność przy stosowaniu kategorii poprawny czy błędny. Regionalizmy świadczą jedynie o bogactwie systemowym, wynikającym z rozwoju językowego. W sytuacji komunikacyjnej można raczej wychodzić z założenia, że pewne formy wymowy są bardziej lub mniej pożądane. Inne zaś bardziej akceptowane. Obszerną pracą na ten temat przedstawił halleński profesor Uwe Hollmach. Inaczej postrzegane są naleciałości regionalne polityka, który takim zabiegiem może zyskać jeszcze większą przychylność swoich wyborców, a inaczej spikera telewizyjnego czy radiowego, nadającego komunikat o zasięgu ponadregionalnym. Bogactwa regiolektalnego wymowy niemieckiej i jej wartościowania przez samych użytkowników nie da się jednak przełożyć dokładnie na grunt polski. Oddziałują tu inne czynniki socjofonetyczne.

Zagadnienia te pozostają w kręgu moich zainteresowań i badań naukowych, są przedmiotem badań mowoznawczych. Tak, tak, termin mowoznawstwo (Sprechwissenschaft) wywołuje także w Niemczech zachodnich konsternację i nasuwa automatycznie pytanie, czy nie zaszło tu przejęzyczenie i nie chodzi przypadkiem o językoznawstwo (Sprachwissenschaft)? Pojęcie mowoznawstwo „przemycam” sukcesywnie do naszego rodzimego świata naukowego i mam cichą nadzieję, że się ono przyjmie.

M. W. : Urodził się pan w Polsce, w polskiej rodzinie. Pana językiem ojczystym jest język polski. Kiedy pojawiły się zainteresowania językiem niemieckim?

Prof. dr hab. Robert Skoczek: Och! To niezwykła historia. Jako 8 – 9 latek interesowałem się językiem rosyjskim. Zaintrygował mnie jego „dziwny szyfr”, z którym się dość szybko obeznałem. Z dziecięcą naiwnością myślałem, że dokonując transliteracji polskich słów opanowałem język rosyjski.

W progu wejścia do pewnego lokalu w Krasnymstawie (woj. Lubelskie), do którego jako nieletni zaglądać nie powinienem, zagadnęła mnie szatniarka. Ja mruknąłem pod nosem coś po rosyjsku, a ona odpowiedziała mi po niemiecku. I zapałem miłością do tego języka od pierwszego słyszenia. Pomyślałem, że brzmi on całkowicie odmiennie niż język polski. W języku rosyjskim można było jeszcze dostrzec jakieś podobieństwa leksykalne. Natomiast tutaj tych podobieństw nie było. Zafrapowało mnie też to, że mówi się jakimś kodem, który jest praktycznie całkowicie niezrozumiały. Szatniarka zaśpiewała mi ponadto taką piosenkę „Alle meine Entchen” i mnie jej nauczyła. Od tej pory przychodziłem do niej regularnie, rzecz jasna w celu nauki języka niemieckiego. Nigdy jej o to nie pytałem, ale mniemam, że sama znała go albo ze szkoły, albo z okresu wojny.

Tak zaczęła się moja przygoda z językiem niemieckim. Starsza pani zaszczepiła mi miłość do niego. Przypadek jakich wiele w życiu.

M. W.: To wczesnodziecięce zainteresowanie trwało, czy było krótkim epizodem?

Prof. dr hab. Robert Skoczek: Trwało. I narastało. Ba, trwa i narasta po dziś dzień. W tamtych czasach o podręczniki do nauki języków obcych nie było łatwo. Szczególnie dla takiego chłopca, który uczęszczanie do szkoły traktował, eufemistycznie rzecz ujmując, jako obowiązek. Nauka mało mnie interesowała w tamtym okresie. Język niemiecki stał się jednak dla mnie odkryciem.

Pierwszy podręcznik do języka niemieckiego - mocno zużyty - dostałem od dużo starszego ode mnie chłopaka, który kończył technikum. I ja z tym podręcznikiem zacząłem się sam zaprzyjaźniać. Tak umacniało się i przybierało na sile moje zafascynowanie językiem naszych zachodnich sąsiadów. Chociaż muszę przyznać, że z fonetyką nie miało to nic wspólnego. Moja wymowa była doliterowa, a więc „das”, „ist”, „ein”...

Ach, wróć jeszcze do pierwszej klasy szkoły podstawowej.

Do mojej wychowawczynie przychodziła jej koleżanka - pani Urszula Mazur. Dałem się jej poznać raczej z mniej chlubnej strony, gdyż jako mały, krnąbrny i niesforny chłopiec. Aczkolwiek dzięki temu mnie zapamiętała.

5 – 6 lat później stałem w kolejce w sklepie nabiłowym z siatką na zakupy. Taki niewyrośnięty dwunastolatek. W tej samej kolejce stała pani Urszula Mazur. Poznała mnie i zapytała:

- Dzień dobry, Robert. Co u Ciebie słychać? Nadal jesteś taki niegrzeczny?

Odpowiedziałem, że nie.

- A czym się interesujesz?

- Niemieckim.

- A to masz szczęście, bo ja jestem nauczycielką języka niemieckiego. I jak będziesz chciał, to możesz przychodzić do mnie do technikum na zajęcia.

Tak też się stało. Chodziłem do niej na zajęcia do technikum i tym sposobem moja przygoda zataczała coraz to szersze kręgi.

M. W.: Ucząc się z takim zainteresowaniem i zapałem pewnie szybko mógł się pan porozumiewać w języku niemieckim? Czy od początku zainteresowała pana fonetyka?

Prof. dr hab. Robert Skoczek: Fonetyka przykuła moją uwagę już na bardzo wczesnym etapie. Miałem 13, może 14 lat, kiedy w jakiejś małej księgarni natknąłem się na „Podręcznik wymowy niemieckiej” Morcińca i Prędoty. Był on wówczas sztandarową literaturą każdego germanisty. Oczywiście kupiłem sobie tę książkę i zacząłem ją czytać. Pamiętam, że bardzo zaciekało mnie to, jak powstają głoski? Czym różnią się od fonów polskich? Jak je prawidłowo wyartykułować, wypowiedzieć ...

Może zabrzmiało to nieco dziwnie, ale widząc przekroje i opisy artykulacyjne głosek – ja je autentycznie słyszałem. Potrafiłem wyobrazić sobie, jak te głoski brzmią. Intuicyjnie, tak przynajmniej przypuszczam, potrafiłem odpowiednio ustawić aparat mowy, żeby te głoski wyartykułować.

Nadmienię, że nie było wtedy – tak jak dzisiaj – dostępu do tylu wzorców akustycznych i materiałów audiowizualnych. Pierwsze kasety do nauki wymowy dostałem w prezencie, kiedy byłem w liceum. Generalnie tego typu pomoce naukowe były trudno dostępne. O YouTube, Internecie nikt wtedy jeszcze nawet nie myślał.

Na początku lat dziewięćdziesiątych w sklepie z telewizorami można było popatrzeć na programy telewizji satelitarnej. Tam usłyszałem pierwszy raz prawdziwy niemiecki i się w nim rozkochałem jeszcze bardziej. Pamiętam, że moja determinacja, żeby dotrzeć do tego akustycznego wzorca języka i nauczyć się produkcji odpowiednich głosek, sięgnęła wówczas zenitu. I skłoniła mnie do słuchania niemieckiego radia. Niestety, na Lubelszczyźnie odbierało ono słabo. Ciągłe były jakieś zakłócenia, trzaski, przerwy w odbiorze. Nie dawałem za wygraną. Wsłuchiwałem się weń z zaciętością i cieszyłem, że potrafię wyłapywać jakiegokolwiek słowa. Zrozumieć je. Słuchałem tego w Krasnymstawie, gdzie odbiornik trzeba było odpowiednio ustawić i dorabiać antenę.

M. W.: W podstawówce nie bardzo interesowała pana nauka. A jednak dostał się pan do liceum. Jak to możliwe?

Prof. dr hab. Robert Skoczek: W szóstej klasie szkoły podstawowej tylko jeden uczeń miał gorsze oceny ode mnie. Pewnego dnia, na godzinie wychowawczej odpowiadaliśmy na pytanie: - Kim chcesz zostać?

Ja dumnie powiedziałem, że chcę zostać profesorem języka niemieckiego. Wtedy wstała oburzona jedna z koleżanek:

- Ty? Profesorem? Nie zdasz egzaminu do liceum!

To mnie zmobilizowało. Mając świadomość moich braków, zacząłem się uczyć języka polskiego, z którego przecież był egzamin wstępny do liceum. Do końca klasy ósmej opanowałem ortografię i nadrobiłem zaległości. Miałem cel!

I dostałem się do liceum z rozszerzonym językiem niemieckim w Krasnymstawie. To było 6 godzin tygodniowo.

Kiedy zaczynałem tam naukę, program szkolny z niemieckiego miałem już opanowany. Wszystko dzięki lekcjom u pani Urszuli Mazur, którą zawsze wspominam ciepło i przy każdej okazji dziękuję jej za bezinteresowną pomoc. I ukierunkowanie bądź co bądź mojego całego życia. Będąc w podstawówce uczęszczałem na lekcje do pani Mazur niemalże w każdej wolnej chwili. Ja tylko nadarzała się ku temu okazja. Bywało i tak, że uciekałem z moich lekcji w podstawówce, żeby zdążyć do technikum na niemiecki. Brałem udział w zajęciach raz z klasą pierwszą technikum, innym razem trzecią, drugą, piątą. To wymusiło na mnie intensywne zajmowanie się językiem niemieckim. W podstawówce praktycznie wszystko leżało odłogiem. Oprócz niemieckiego.

M. W.: Po liceum wybrał pan Katolicki Uniwersytet Lubelski. Przypadek?

Prof. dr hab. Robert Skoczek: Niekoniecznie. Przekonały mnie renoma oraz powszechnie głoszona opinia, że papier z KUL-u „liczy się na całym świecie”. Potem się okazało – liczy się jak z każdej innej polskiej uczelni wyższej.

M. W.: Potem pojawiły się inne uczelnie...

Prof. dr hab. Robert Skoczek: Miałem to szczęście, że studiując na KUL-u, studiowałem jakby jednocześnie na UMCS-ie. Instytut na KUL-u był młodym instytutem pod względem kadry naukowej. Profesorowie dochodzili z UMCS-u. Wśród nich moja świętej pamięci pani profesor Irena Nowicka. Do dziś wspominam ją bardzo ciepło. Traktowała mnie jak syna. To ona namówiła mnie, żebym robił doktorat. Ja natomiast chciałem po germanistyce studiować chemię spożywczą.

Profesor Nowicka postarała się o stypendium dla mnie. Nie były to wprawdzie jakieś kokosy, ale był to już jakiś grosz. Dorabiałem ucząc języka niemieckiego.

W trakcie doktoratu odwiedziłem po raz pierwszy w Jenie profesora Meinholda, do którego napisałem już na pierwszym roku studiów. Zajmował się on procesami fonostylistycznymi, czyli tymi wszystkimi redukcjami fonetycznymi, które występują w obrębie różnych stylów mówionego języka standardowego, zatem autentycznego. Studiując w Jenie, uczęszczałem na wszystkie zajęcia profesora Meinholda. Między innymi na praktyczne zajęcia z czytania wiadomości w mediach, czy głosowej interpretacji tekstów artystycznych.

Po powrocie do Polski podjąłem dodatkowo studia podyplomowe z emisji głosu we Wrocławiu, gdzie zetknąłem się z wieloma autorytetami w tej dziedzinie, w tym z panią Bogumiłą Toczyską.

Ach, byłbym zapomniał. Moją biografię edukacyjną wzbogaciły też studia na uniwersytecie w Rostocku, które to zainspirowały mnie do wyboru tematu rozprawy doktorskiej.

M. W.: Kończąc studia, a potem robiąc doktorat o jakiej pracy pan marzył? Tłumacz, nauczyciel, dyplomata...?

Prof. dr hab. Robert Skoczek: Raczej nauczyciel. Miałem to szczęście, że znalazłem wówczas wymarzoną pracę w Nauczycielskim Kolegium Języków Obcych w Chełmie. Do dziś wspominam ją jako raj. Ludzie byli tam zmotywowani, pełni energii. Bardzo dużo nauczyłem się od pani dyrektor Beaty Lipczyńskiej, która przyjmowała mnie do pracy. Nauczyła mnie konkretnych, fachowych rzeczy, nauczycielskiego rzemiosła.

Dozgonnie jestem wdzięczny za to, co mi to kolegium dało. Mogłem uczestniczyć w sympozjach, konferencjach. Każdy mój sukces był mile witany. Na uczelniach nie zawsze tak jest. W Chełmie – identycznie jak w Halle – panowała zasada: „Twój sukces jest moim sukcesem.”

To jest bardzo dobre myślenie, że nie pracuje się tylko dla siebie, lecz na sukces całego zespołu. Bez zawiści i zazdrości.

M. W.: A jak się potoczyła dalsza kariera zawodowa?

Prof. dr hab. Robert Skoczek: Czuję, że zbliża się schyłek kolegium. Trzeba się było rozejrzeć za pracą. Pojawiła się perspektywa pracy w Radomiu. Na tamtejszej uczelni otwarto germanistykę. Bardzo zaangażowałem się w pracę i rozwój placówki. Kiedy padło pytanie „Panie Robercie może udałoby się jakieś środki pozyskać?” - napisałem do różnych fundacji niemieckich, nakreślając problem instytutu.

Zgłosiła się m.in. Fundacja Hermana Niermana. Dali wtedy 50 tys. Euro, żeby zbudować nową część budynku z nowoczesnymi salami dydaktycznymi. Uczelnia dołożyła drugie tyle. Dzięki temu powstało nowe skrzydło, nowe laboratorium językowe. Zaplecze materialne biblioteki zapewniła w znacznej mierze za sprawą moich kontaktów i starań Fundacja Graffa.

W Radomiu pracowałem 3 lata.

Kiedy na horyzoncie pojawiła się możliwość pracy na KUL-u, natychmiast złożyłem aplikację i zostałem przyjęty na stanowisko adiunkta. Bardzo chwalę sobie współpracę z tamtejszymi wykładowcami. Pomoc - taka ludzka - była wszechobecna.

M. W.: Z Lublina przeniósł się pan do Warszawy. Dlaczego?

Prof. dr hab. Robert Skoczek: Wróciłem w moje rodzinne strony do Konstancina. A ponadto otrzymałem propozycję pracy na Uniwersytecie Warszawskim. Ponieważ była to praca na pół etatu i na czas określony, przyjąłem dodatkową – lektora w Instytucie Goethego. Jednocześnie pisałem habilitację.

Nie był to łatwy okres w moim życiu, gdyż pracowałem od świtu do nocy, mając świadomość, że za chwilę moje umowy dobiegną końca. Narastała niepewność egzystencjalna. Na do miar złego zbiegło się to z podejrzeniem choroby nowotworowej. Nie pozostawało mi jednakże nic innego jak zacisnąć zęby i iść na przód.

M.W.: Ale to wszystko nie zniechęciło pana do pracy. Znalazł się pan na uniwersytecie w Halle. Znowu przypadek?

Prof. dr hab. Robert Skoczek: Ponoć nic nie dzieje się przypadkiem. W Lingwistycznej Szkole Wyższej w Warszawie, w której pracowałem kilka lat wcześniej, pomagałem w organizacji międzynarodowej konferencji, na którą przyjechała z Halle pani profesor Ursula Hirschfeld. Podczas wycieczki po Warszawie zaczęła nawiązywać do mojego referatu i zapytała, czym się zajmuję. Od słowa do słowa zaproponowała mi udział w jej seminariach i współpracę przy wielkim projekcie „Nowa kodyfikacja wymowy niemieckiej”, którym kierowała. Propozycję naturalnie przyjąłem.

A po kilku latach współpracy, kiedy pani profesor Hirschfeld przechodziła na emeryturę, zapytała mnie: „Czy byłbyś gotów, czy zechciałbyś objąć po mnie profesurę tutaj w Halle?”

To odpowiedzialne stanowisko. Poczułem się bardzo doceniony, zwłaszcza, że profesor Hirschfeld jest naukowcem światowego formatu. Jej publikacje, podręczniki i poradniki znane są chyba każdemu germaniście, który zajmował się fonodydaktyką.

Kiedy objąłem tę profesurę, moja rozprawa habilitacyjna była już formalnie zatwierdzona przez Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Marcina Lutra w Halle, a miesiąc później byłem już po habilitacji.

Bałem się tej nowej rzeczywistości, zajęć ze studentami... Wszystko było nowe.

M. W.: Na czym polega ta inność?

Prof. dr hab. Robert Skoczek: W Polsce nauczyciel cały czas musi być w centrum. W Halle rzucaś hasło i realizujesz zajęcia. Student jest głównym aktorem, a wykładowca reżyserem. Nie jest to oczywiście zarzut kierowany w stronę polskiej uczelni czy polskich studentów. Są to różnice kulturowe i systemowe. Aczkolwiek i ten niemiecki system nie jest pozbawiony wad. Przyszłościowo można by się pokusić o kompilowanie obu systemów, wybierając z nich to co najlepsze.

M.W.: Mając wszechstronne doświadczenie w nauczaniu języka niemieckiego jak również niezwykle własną drogę do naukowej kariery, co poradziłby pan uczniom, żeby ich zachęcić do nauki języków obcych?

Prof. dr hab. Robert Skoczek: Żeby nauczyć się języka obcego, konieczne jest zakochanie się w nim. Niezbędna jest fascynacja. Wtedy nauka staje się przyjemnością, potrzebą. Tego życzę wszystkim uczniom w polskich szkołach. Efekt murowany. Zaś profity ze znajomości języków obcych są powszechnie znane. Języki obce otwierają nam drzwi do innych światów.

M. W.: A nauczycielom, co by pan poradził? Jak najskuteczniej uczyć? Czy na przykład skupiać się na kształceniu jednostek wybitnych, czy raczej uśredniać poziom nauczania, zniżając go do średniej klasowej?

Prof. dr hab. Robert Skoczek: Ja bym powiedział tak. Kto chce, to się nauczy. Kto nie, to nie. Rolą nauczyciela nie jest to, by ciągnąć wszystkich na siłę. Oczywiście dobrze, jeśli uda się zaszczepić miłość do nauki jak największej liczbie uczniów. Wymaga to energii i zaangażowania. A my, nauczyciele, mamy tylko pewien ograniczony zasób sił i energii.

Mnie motywowało, jeśli pojawiała się choć jedna osoba w klasie, w której widziałem iskrę, która może wzniecić ogień. Taka osoba daje nauczycielowi satysfakcję i energię. Nie oznacza to, że należy resztę klasy pominąć. Często taka zmotywowana uczennica czy uczeń jest w stanie zaangażować innych i tym samym wspomóc nauczyciela.

M. W.: Trzy osoby mające najważniejszy wpływ na pana karierę.

Prof. dr hab. Robert Skoczek: - Niewątpliwie pani **Urszula Mazur** – wspaniała nauczycielka języka niemieckiego. Zawdzięczam jej nie tylko bardzo dobrą edukację. Przekazała mi ona również wartości etyczne i moralne.

Beata Lipczyńska – dyrektor kolegium nauczycielskiego w Chełmie. Wybitny nauczyciel, germanista i człowiek. Chylę przed nią czoło i dziękuję za możliwość uczenia się nauczycielskiego rzemiosła u jej boku.

Profesor **Ursula Hirschfeld**, która przywróciła mi wiarę w świat naukowy, dała szansę rozwoju naukowego i dalszej kariery. Profesor Hirschfeld wzbudziła moje zainteresowanie fonetyczne na wszelakich obszarach oraz zaprosiła do zespołu, pracującego nad kodyfikacją wymowy niemieckiej. Tym samym mały onegdaj chłopiec z Krasnegostawu dokłada dziś swoją cegiełkę do tak ważnego przedsięwzięcia, jakim jest stworzenie elektronicznego słownika wymowy.

M. W.: Pana marzenia?

Prof. dr hab. Robert Skoczek: Zwykłe, przyziemne: zdrowie, spokój, szczęście i przyjaźni ludzie na życiowej ścieżce.

M.W.: Spełnienia marzeń Panu życzę i dziękuję za rozmowę.